



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

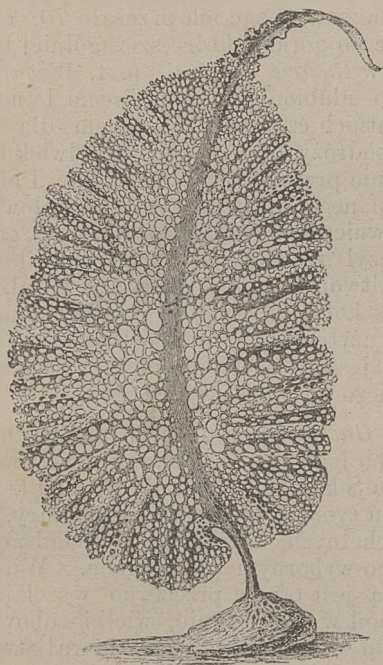


Fig. 7. Brunatnica (*Argarum Gmelini*)

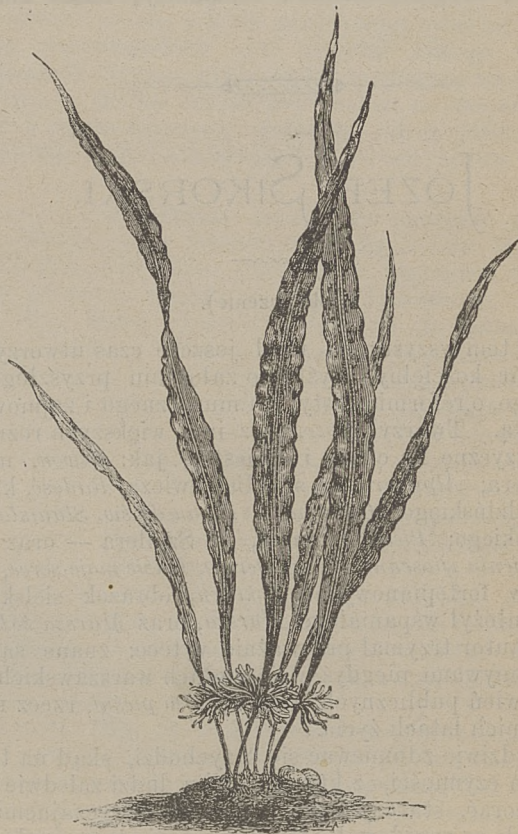


Fig. 8. Brunatnica. (*Alaria fistulosa*) $\frac{1}{75}$ wielkości naturalnej.



Fig. 9. Krasnorost (*Delesseria sanguinea*) $\frac{1}{6}$ wielkości naturalnej.

NA WAKACYE DLA PANIENEK.

Spodziewamy się, że czytelniczki nasze w roku bieżącym, podobnie jak w latach poprzednich, zechcą nam dać możliwość ocenięcia i nagrodzenia postępów, jakie uczyniły w robotach ręcznych, tak niezbędnych w każdym starannym kobiecym wychowaniu. Przypominamy również, że przysyłając nam licznie te próby swej pracy, spełnią zarazem uczynek miłosierny, gdyż przeznaczamy je, jak zwykle dla biednych dzieci, pozbawionych często najniezbędniejszych przedmiotów odzieży, nie tylko sukienek, ale i bielizny. Jedno i dru-

gie z równą przyjęte będzie radością. Zastrzegamy przytem, aby materiały na roboty były jak najprostsze, perkale, barchany niekonieczne nowe, choćby przerabiane. Idzie tu bowiem o to głównie, aby robota była staranną, i aby ofiarodawczyni wykonały ją bez pomocy starszych, (za wyjątkiem cchyba kroju, którego młodsze pracownice znać jeszcze nie mogą dokładnie). Najlepsze roboty będą nagrodzone.

Nadsyłać je mogą panienki do lat 15-tu — a za ostateczny termin naznacza się koniec września.

Gdyby panienki starsze chciały wziąć udział w tym dobrym uczynku, przysyłając prace swoje, choćby nie jako próby, ale jako dar dla biednych dzieci, serdecznie im za to byłibyśmy wdzięczni.

Adresując robótki do naszej Redakcyi, należy przyszyć do nich kartkę z wypisanym **wiekim, pseudonymem, nazwiskiem i dokładnym adresem** tej, która je wykończyła. Prosimy o zwrócenie na to uwagi, bo niepodobna nam ocenić roboty, jeżeli nie wiemy wieku pracownicy. Adres dokładny jest nam także koniecznie potrzebny, zdarza się zaś nieraz, że o jednym i drugim warunku zapominają nasze korespondentki.

JÓZEF SIKORSKI.

(Dokończenie).

Przy tem wszystkiemu miał jeszcze czas utworzyć swój własny chór kościelny, myśleć o założeniu przyszłego Tow. Muzycznego, o reformie Instytutu muzycznego i zajmować się kompozycją. Tworzył *Msze*, oraz inne większych rozmiarów utwory muzyczne na chóry i orkiestrę, jak: *Dzwon*, muz. do słów Szyllera; *Alpuhara*, do sł. Mickiewicza; *Radość*, kantata, słowa Brodzińskiego; *Ojciec nasz*; *Hymn do św. Stanisława*, sł. Romanowskiego; *Pieśń o ponczu*, sł. Szyllera — oraz pieśni solowe; *Rajenia wiosenne*, *Krzyż sieroty*, *Gdzie moje serce*, i inne. Z utworów fortepianowych: *Nokturn*, obrazek sielski. Na orkiestrę, ułożył wspaniałego *Marsza*, oraz *Marsza żałobnego*. Dzieła te autor trzymał przeważnie w tece: znane są tylko *Msze* wykonywane niegdyś w kościołach warszawskich, oraz z przedstawień publicznych: *Dzwon*, i *Do pieśni*, rzecz napisana w ostatnich latach życia.

Prawdziwie zdumiewać się przychodzi, skąd na tyle różnorodnych czynności, z któremi kilku ludzi zaledwie zdołaloby się uporać, starczyło czasu temu nadzwyczajnemu człowiekowi; jak go znajdował jeszcze na życie towarzyskie, którego potrzebował i lubił! Oto mało sypiał. Na jego żądanie, budzono go codziennie o godzinie 6-tej ze szklanką gorącej herbaty, której płyn go wytrzeźwiał, dopomagając do zwalczenia siłą woli snu, na który często zaledwie dwie lub trzy godziny poświęcał. A jednak znalazł jeszcze i czas i zdrowie na gospodarstwo rolne. Pragnąc aby dzieci jego podrastające już, przebywały jak najwięcej na świeżem powietrzu, nabywa za grosz odkładany włókę jałowej ziemi na Brudnie pod Warszawą, i w wolnych od lekcji godzinach, podąża tam piechotą. Buduje na tym gruncie folwark, studjuje książki gospodarcze, zakłada ogród, sam drzewa sadi i szczepi — uprawia ziemię z takim staraniem, że otrzymuje wreszcie plony zdumiewające. Jałowy grunt wkrótce w kwitnącą zamienia się oazę, i jest przedmiotem nieustannej uciechy dla dzieci, ochoczo pomagających rodzicom w zajęciach gospodarczych.

Niebawem zdolności wielostronne Józefa Sikorskiego i jego nieposzlakowany charakter, miały mu utorować drogę

do nowego zaszczytnego stanowiska. Powołany na redaktora *Gazety Polskiej* w r. 1866, w chwili gdy pismo to same tylko straty przynosiło właścicielowi, porzuca nauczycielstwo, kładzie wedle swego zwyczaju w tę nową działalność całą duszę, zakłada nawet własną, dla wygody gazety, drukarnię — mienie jego bowiem z pracy i oszczędności powstałe, zaczęło już wtedy wzrastać. Wkrótce prenumerata tak się podniosła, że gazeta zamiast strat, znaczne przynosić zaczęła korzyści. Prowadził ją przez lat 10, dając na każdym kroku dowody miłości publicznego dobra.

Po usunięciu się od redaktorstwa, życie ś. p. Józefa Sikorskiego, upływało przeważnie w kole rodzinnem, jakkolwiek nie usuwał się od spraw publicznych, służąc współbraciom radą i pomocą i dopomagając do tkania tego, nigdy nie kończącego się przedziwa, które się pracą społeczną nazywa. Jako właściciel drukarni, zajmował się pilnie jej sprawami, troszcząc się bardzo o dobro pracujących w niej zecerów. Obrany dyrektorem Spółki jedwabniczej, w najcięższej jej chwili, dźwiga ją, obmyśla nowe podstawy, a widząc w rozwoju przemysłu jedwabniczego, pomnożenie bogactwa narodowego, jedzie do Włoch dla lepszego zapoznania się z nim, choć miał już w tedy lat sześćdziesiąt kilka.

Lata mijają nie naruszając tego zdrowego moralnie i fizycznie organizmu; licząc ich przeszło 70, chodził jeszcze jak młodzieniec po górach, które szczególnie umiłował i opisał w r. 1870 w *Gazecie Polskiej*, p. t. *Wycieczki w Tatry*. Zakopane było ulubionem mu miejscem letniego pobytu od lat 30, a w ostatnich czasach lekarstwem dla płuc, cierpiących od daty podróży do Włoch, jakkolwiek lat kilkanaście bronił się dzielnie przeciwko tej chorobie. Pierwszy przybywał do Zakopanego, ostatni wracał, rozmiłowany w przyrodzie i jej małowinności. Zнали go wszyscy górale, którym chętnie tłumaczył zjawiska fizyczne i mówił o obowiązkach społecznych. Utworzył chór z dziewcząt góralskich, uczennie koronkarskiej szkoły, i wyuczył między innymi własnego *Ojciec nasz*, na użytek miejscowego kościoła. Na trzy dni przed śmiercią jeszcze wybierał się tam jechać, z wiarą we własności lecznicze tej miejscowości.

Ta sama *Gazeta Polska* której przewodniczył niegdyś, wypowiedziała po jego zgonie, że „tak wychował rodzinę, iż nazwisko Józefa Sikorskiego jest dziś wśród kształcących się młodych pokoleń synonimem pożytecznej pracy, prawego charakteru i szlachetnych dążeń. Doświadczenie własnego życia, zrobiło go wyborynym pedagogiem. Wiedząc, że obowiązek najlepszą jest tarczą przeciwko wszelkim słabościom charakteru, wpoił w dzieci swoje, wielkie obowiązku zamiłowanie. Gdy szło o wypełnienie go, bywał twardym i nieubłagany.

Przekonany, że rachunkowość wytwarza ład w życiu i porządek w myślach, wcześniej przyzwyczajał dzieci do prowadzenia rachunków. Zaledwie pisać umiały, już wypłacał im pensję miesięczną po 20 groszy na początek, obdarzając zarazem książeczką, w której zapisany być musiał każdy wydatek. W Nowy rok, po kościele, wszystko sześcioro z książeczkami rachunkowymi stawiały się w pokoju ojca, który rachunki po szczególe przeglądał, robił swoje uwagi i w miarę dobrego użycia pieniędzy, podnosił pensje. To wczesne wdrożenie do liczenia się z wydatkami, zbawienne wydawało owoce. Dzieci uczyły się oszczędzać i dzielić z ubogimi własnymi funduszami, bez potrzeby odwoływania się do rodziców. Sam ciężko zdobywający byt materialny, znał wartość grosza i nienawidził zbytku, mawiając: „Nie to kupujecie, co wam się zdaje być potrzebnem, ale to bez czego się obejść nie można” — a także: „Kto kupuje rzeczy niepotrzebne, ten z czasem potrzebne będzie sprzedawał”. Wyrozumiały dla rzeczywistych przeszkód, nie miał pobłażania dla lenistwa i nauczył dzieci miłować pracę, widząc w niej najlepszy środek zapełnienia życia, a nawet i dźwignię w meszczęściu. Jak pożytecznym okazał się ten system wychowawczy, najlepszym dowodem była wdzięczność i miłość dzieci, jaką ten dobry, rozumny, acz surowy ojciec, był otaczany. Był bowiem nie tylko kochanym, ale uwielbianym, ten patriarchy posiadający tali-

zman wiecznej młodości. Co bowiem w nim było najosobliwszego, to że pomimo ośmdziesięciu trzech lat, nie był starym. Mędrzy średniowieczni łamali sobie głowę nad wynalezieniem środka odmładzającego, nadaremnie. Ś. p. Józef Sikorski talizman ten posiadał, nie szukając go wcale. Na dwa lata przed zgonem, to jest w 81 roku życia, jeszcze stworzył dzieło prawdziwego natchnienia, jakim jest utwór na chór męzki, *Do pieśni*. Zachował do śmierci samej świeżość wrażeń, bystrość umysłu, żywość temperamentu, miłość publicznego dobra i wiarę w przyszłość. Szlachetne oblicze acz zmienione cierpieniem, pełne było życia, gdy mówił o sprawach obchodzących ogół; oczy których barwa błękitna dziwną stanowiła sprzeczność z białą, do pasa sięgającą brodą, błyskały ogniem młodzieńczym, a z piersi którym już ciągle bratowało oddechu, dobywał się głos potężny.

Ten talizman cudowny, i wy młodzi czytelnicy Wieczorów w posiadanie możecie bez pomocy alchemii. Trzeba tylko pracować w pocie czoła, strzedz się lenistwa rozmiękczającego ciało a osłabiającego umysł, mówić prawdę, kochać współbraci i mieć serce czyte — a także mieć małe potrzeby, a wielkie cele.

Chory ciężko od roku, nie opuszczał wcale mieszkania i pobawiony był większych przyjemności muzycznych, które tak lubił, chociaż sam grywał jeszcze na fortepianie i organach. Jak w całym swym życiu, tak i w chorobie jeszcze mógł służyć innym za przykład. Los swój znosił mężnie, cierpiąc najwięcej nad tem, że już czynnym być nie mógł — i zrywając się jeszcze chwilami do działania, ostatkiem sił. Duch był mądrym do końca, tylko ciało nie mogło mu sprostać. Cierpienie nie przeszkadzało mu też pisywać zręcznych, pełnych humoru wierszy. Do ostatka nie przestawał się interesować sprawami ogółu, i śledzić pilnie ich bieg, czytając wszystko niemal, co tylko wychodziło z pod prasy. Już dogorywający, troszczył się jeszcze o drugich, i pod wpływem tej troski wyjawiał żonie życzenie aby w jego imieniu złożyła pewną sumę na cele publiczne, mianowicie r. 3,000 Towarzystwu Muzycznemu, z objaśnieniem, że procent ma iść na zapomogę dla początkujących polskich kompozytorów, aby nie łamali sobie skrzydeł w walce o chleb powszedni, jak to z nim niegdyś było — gdy krzątając się za chlebem owym, nie mógł poświęcać sztuce, zwłaszcza kompozycji, tyle czasu ile pragnął. Życzenie to zostało już spełnione, jak również i drugie: Zgromadzenie drukarzy warszawskich otrzymało 2,000 rs., na zapomogę dla wdów obarczonych dziećmi po zmarłych zecerach — prócz tego rozdano 1,000 rs. zecerom pracującym w drukarni ś. p. Józefa Sikorskiego.

Takie są owoce oszczędności tego niezmordowanego pracownika, oprócz innych które nigdy na jaw nie wyjdą. Oszczędzał groszy, ale dawał setki i tysiące z łatwością, gdy widział rzeczywistą potrzebę pomocy — spełniał to jednak zazwyczaj w taki sposób, że „nie wiedziała lewica co czyniła prawica”. Nie nie lekceważył, nie znosił aby się cośkolwiek naradowało, choćby to był tylko sznurek lub zapalka — bo w każdym przedmiocie widział wartość pracy ludzkiej.

Ten, o którym słusznie powiedziano w wspomnieniach pośmiertnych, że „spoczynku nie znał i nigdy go nawet nie zapragnął” — spoczął nareszcie pod kamieniem grobowym, wśród zieleni do której tęsknił, a ciepłe promienie słońca których wyglądał, oblały jego trumnę, niesioną na barkach towarzyszy sztuki drukarskiej. Odprowadził go do ostatniego mieszkania liczny tłum, i zarzucił grób jego wieńcami. Wielkie serce pełne miłości i do ostatniej chwili bijące w takt z sercami współbraci, przestało uderzać, ale duch żyć będzie w owocach jego pracy społecznej, w pieśniach które zostawił, w sercach tych co go znali i kochali, i którym dał przykład, jak żyć trzeba.

Pisząca te wyrazy patrzyła na życie ś. p. Józefa Sikorskiego przez lat 23: zawdzięcza mu cały swój literacki dorobek, cały kierunek umysłowy i społeczny, jako swemu duchowemu Ojcu — i błogosławi z głębi duszy, tak za surowość której nieraz doznała na sobie, jak również za ciepło serdeczności, zaczerpnięte u jego rodzinnego ogniska.

Zofia Urbanowska.

ZYCIE W OCEANIE

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Dotychczas nie jest jeszcze znanem dokładnie, z kąd się biorą te rośliny na pełnem morzu w tak wielkiej ilości. Większość jednak badaczy tego zjawiska, a w ich liczbie Krümmel wygłasza przekonanie, że wodorosty nagromadzone wśród północnego Atlantyku, rosną na skałach u wybrzeży amerykańskich, a przeważnie na wyspach Antylskich; gwałtowne burze odrywają te wodorosty od wybrzeży i popychają na morze, i tu rozpoczyna się ich wędrówka, gdyż prądy morskie wloką je za sobą. Jednakże wydaje się prawdopodobnem, że oderwane pęki sargassum, mogą następnie rozrastać się na powierzchni wody, tak, iż morze zdoła okryć się tą roślinnością nawet i wtedy, gdy nie przybywają nowe jej zapasy z wybrzeży amerykańskich. Do wniosku takiego doszedł znany przyrodnik Perrier, który badał sargassum na miejscu podczas wyprawy statku *Talismana*; znalazł on wszystkie badane okazy w stanie zdrowym i świeżym, jak u roślin swobodnie się rozwijających i rozrastających we wszystkich kierunkach.

Morszczyzn i sargassum, należą do gromady glonów, zwanych z powodu barwy brunatnicami (fig 7 i 8). Są to rośliny stosunkowo niewielkie. Nierównie większych rozmiarów bywają pokrewne z nimi listownice (*Laminaria*), mające wyraźną łodygę, liście i korzenie, któremi do podmorskich kamieni przyczepiają. Listownice tworzą w oceanach gaje i lasy prawdziwe; są to bowiem duże drzewa z powierzchniowości do wierzby podobne jak np. rodzaj *Lessonia* w oceanie Spokojnym rosnąca. Inne listownice przedstawiają się jako długie sznury łodyg, na których stoją wstęgowe liście oraz rozdęte pęcherze; dzięki im łodyga podnosi się w górę pod powierzchnią morza, do dna którego za pomocą tęgich korzeni przyczepia. Długość i siła tych łodyg bywają niekiedy zdumiewające. Widziano naprzykład łodygi z rodzaju *Macrocystis*, dosięgające kilkuset metrów długości, a dzięki pęcherzom pływającym, podnosiły one w swych splotach kamienie tak ciężkie, iż człowiek z trudnością zaledwie mógłby je udźwignąć. *Macrocystis* pospolite są we wszystkich morzach południowych.

Wodorosty (fig. 9) o których dotąd mówiliśmy, są w wieloraki sposób pożyteczne na świecie. Żywią one tysiące i miliony zwierząt morskich rozmaitego gatunku, lecz i ludzie mają z nich możliwy pożytek. Wodorosty pobierają z wody morskiej w wielkich ilościach sod, a w niewielkich jod i brom. Niegdyś, dopóki nie nauczono się otrzymywać sody z wody morskiej, wyrabiano ją z tych roślin. Dziś jeszcze wyrabia się z nich jod i brom; pierwiastki mające tak ważne zastosowanie w fotografii i medycynie. Szkoci i Francuzi używają morszczyzn zamiast mierzwy do użyźniania gleby, łodygi zaś grubych listownic na brzegach Bretanii i w Islandyi lud suszy i używa na opał. Pewien morszczyzn (*Urvillea utilis* Bor) rosnący na wybrzeżach chilijskich, po ugotowaniu daje pożywną i smaczną galaretkę, i w tym celu bywa zbierany i sprzedawany na targach. Na przykładku Dobrej Nadziei inny morszczyzn, mający łodygi grube, po wysuszeniu zaś rogowo tęgie, bywa tam używany na nogi do różnych sprzętów. Zbierają go też w większej ilości, suszą, fabrycznie mielą na proszek, który po przerobieniu odpowiedniemi ścieśnieniami, daje masę rogową, czarną, używaną powszechnie w Anglii do robienia osad do brzytw, nożów i t. przedmiotów.

NIEZNAJOMA Z PODDASZA

powieść przez

Bożysława Żozawską.

(Dalszy ciąg).

Dama klasowa prawiła mi potem jakieś morały, doszło to nawet do przełożonej, ale wkrótce zapomniano o tym wybryku, gdyż zbliżał się koniec roku szkolnego, pracy zatem

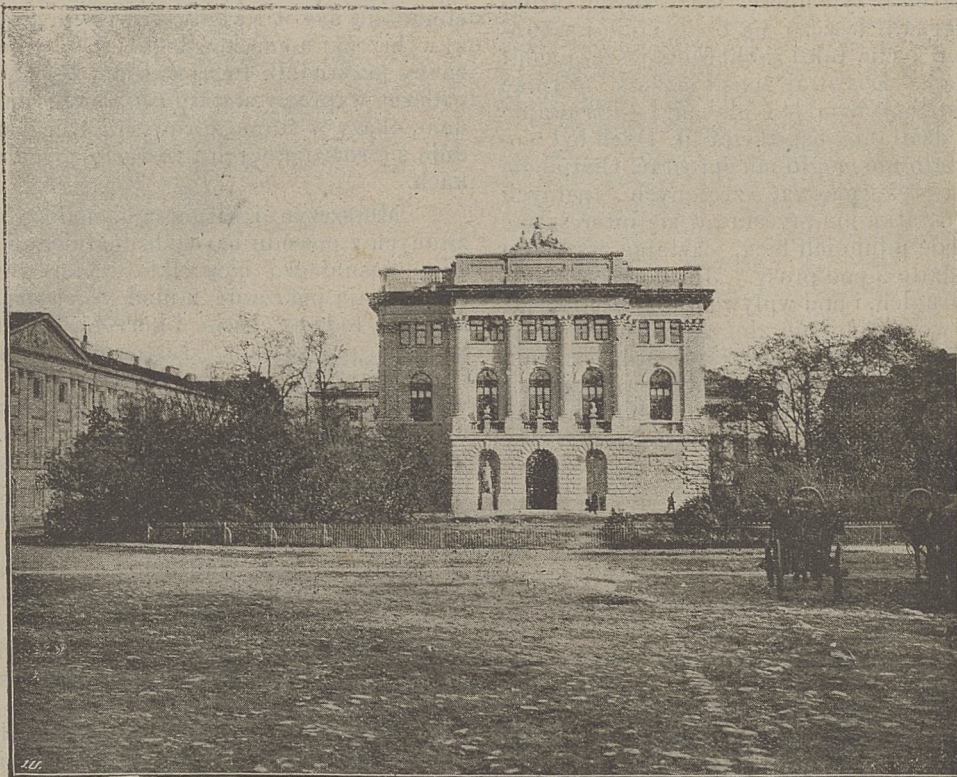
Rozerwałam kopertę, układając już w myśli jaki teraz serdeczny list napiszę, umyśliłam nawet jechać na wakacje, czego przez trzy lata nie czyniłam, jakieś niewyraźne wprawdzie, ale zawsze jakieś przeobrażenie działo się w mej duszy.

Brakowało tylko dmuchnięcia, aby wybuchnął ogień miłości do innego życia.

Uśmiechnęłam się do listu, pocałowałam go nawet i przycisnęłam do piersi, w której topniały jakieś lody.

Zaczęłam czytać, początek wydał mi się inny niżeli zwykle, było dużo czułości, ale jakaś ukryta myśl widniała z każdego słowa.

Z WIDOKÓW WARSZAWY.



Nowy gmach biblioteki uniwersyteckiej.

było wiele dla pilnych i dla mniej pilnych, które w tych kilku tygodniach, pragnęły powetować rok cały.

Dnia jednego, gdy ukończywszy lekcye siedziałam zamysłona, odtwarzając w pamięci me lata dziecięce, nie znajdując w nich jednak nic coby mi było radością, oddano mi list od ojca.

Byłam stęskniona, gdyż dość dawno nie miałam listu od niego, a mimo, że nawet miłość w sercu ukrywałam starym, nie mogłam się oprzeć okrzykowi radości.

Kochałam ojca bardzo, tak bardzo jak tylko serce sieroco kochać może, ale on tego nie przeczuwał może, nie okazał mi tego nigdy wyraźnie, czy ja wiem co powstrzymywało moją dziką naturę?

Przerzucałam szybko, nareszcie doczytałam się, że ojciec ożenił się z panną N., z tą właśnie, która radziła oddać mnie na pensję!

— Ach! — wykrzyknęła Wańdzia — biedna pani była wówczas, jakież to nieszczęście!

— A to miła niespodzianka — dodał Władek kręcąc głową — ktoby to przypuścił, taki niby dobry ojciec.

— I był dobrym drogie dzieci — rzekła nieznaną, tłumiąc westchnienie — ale ja nie byłam dobrą córką, nigdy on ze mnie nie miał pociechy, nie umiałam zapełnić mu życia.

— Ciekawa jestem bardzo — rzekła Wańdzia — jak też ta pani śmiała pani spojrzeć w oczy?



— Czy uważasz moje dziecko, że ona popełniła jaką winę? — zapytał pan Brzeski.

— Zawsze proszę ojezunia to było niedobrze, buntować ojca przeciw dziecku — rzekła Wańdzia trochę zakłopotana.

— A gdzie tu był bunt? — pytał dalej pan Brzeski — dała swą radę tylko, wolno było usłuchać lub też nie, nie narzucała swego zdania, w każdym razie musiała to być kobieta zająca, która myślała o tem, aby dziecko zepsute pieczętami i samowolne, wyprowadzić na dobrą drogę.

— Masz pan słuszność — rzekła nieznajoma — była to kobieta dobra i jak najlepszych chęci, jednak, miała trochę za mało cierpliwości, a raczej miała jej bardzo wiele, tylko wyczerpała się w końcu właśnie, kiedy ja zaczęłam rozumieć tę cierpliwość i myśleć szczerze o poprawie.

Dla mnie wszystko się opóźniało lub nadto spieszyło, gdyby jeszcze rok, pół roku była dla mnie tak dobrą jak z początku, byłaby dokonała wielkiego dzieła.

— Ale, co pani zrobiła przeczytawszy ten list? — zapytał Władek.

— Musiała pani bardzo płakać — rzekła Wańdzia.

— Nie, ani jedna Iza nie popłynęła mi z oczów, nadto byłam wzburzona i oburzona, abym płakać mogła.

Na końcu listu było kilka słów od żony mego ojca z obietnicą dłuższego w krótkim czasie, jako też zapowiedź, że za cztery tygodnie przyjadą po mnie.

Cały gmach mych marzeń jechania na wakacje do domu, runął odrazu. Mój zamiar aby pozyskać w zupełności serce ojca, aby mu wynagrodzić lata przykrości jakie miewał ze mną, obrócił się w jednej chwili w niwecz.

Ojciec już mnie nie potrzebuje, myślałam z goryczą, ja mu nie wystarczałam, a zamiast zrobić z sobą bardzo szczegółowo obrachunek, a fakt przyjąć, jako rzecz spełnioną bezmiennie, więc poddać mu się i uczynić stosunek o ile możności miłym i łatwym, ja podniosłam w duszy bunt, nietylko przeciw przybranej matce, ale przeciw własnemu ojcu.

Z buntu tego wynikło, że nie pojedę na wakacje do domu, a chcąc mieć ważny do tego powód, zrobiłam natychmiast postanowienie, że potrzebuję koniecznie brać lekcye rysunku, do czego dość miałam zdolności.

W sercu mem jednak, choć pozornie zapanowałam nad sobą, do czego przywykłam już przez lat kilka, powstało dziwne jakieś uczucie żalu, smutku głębokiego jakby mi kto zabrał coś tak drogiego, co było częścią mego życia, moją jedynie własnością. Im więcej rozmyślałam nad tem, tem ciężiej było mi na duszy i na chwilę, straciłam panowanie nad pozornym spokojem i zawoiałam głośno załamując ręce:

— Ojczul jak mogłeś uczynić mnie podwójną sierotą!

Na te słowa pełne boleści, z za firanek wyszła spiesznie jedna z mych koleżanek, ta do której miałam dużo sympatyj, choć ją w sobie zamknęłam, jak zresztą każde uczucie.

— Ado! — rzekła głosem serdecznego współczucia — co się stało? Czy spotkało cię jakie straszne nieszczęście?

Nie dokończyła, lecz w oczach jej wyczytałam, że domyśla się czegoś, czego wymówić nie miała odwagi.

Była krótka chwila, że chciałam wyciągnąć do niej ręce, uczułam żeby mi dobrze było przy tem zacnem, pocziwem sercu, bo rzeczywiście Iza była wzorem dla całej pensyi. Ale niestety! chwila ta minęła, a ja znów stałam się zamkniętą i nieufną.

— Nie Izo — rzekłam, siląc się na spokój — nic się nie stało, był to wykrzyk pełen egzaltacji, za który wstydziliby się należało.

Iza spojrzała na mnie bacznie i rzekła z powagą, choć ze słodyczą:

— Niedobrze robisz Ado, że zamykasz serce przed uczuciem i życzliwością, która mogłaby się w przyjaźni zamienić. Ale, to mnie nie należy robić ci uwagi, to jedno ci powiem jeszcze, że mi ciebie serdecznie i szczerze żal, bo jednak, tobie z tem nie jest dobrze Ado.

— Nie skarżę się — odrzekłam posepnie, choć bez dumy tym razem.

— Nie skarżysz się, to prawda, ale ja widzę, że ci nie raz smutno — mówiła Iza siadając na krześle, bo dnia tego była cierpiącą i dla tego nie poszła z towarzyszkami do ogrodu.

— Nigdy wesołą nie byłam — rzekłam krótko.

— Ja to widzę rzekła Iza — i chciałabym z całego serca aby ci jaką chwilę uprzyjemnić, wierzaj mi Ado, źle robisz, że się od nas odsuwasz.

— To wy odsuwacie się odemnie, a mnie wcale z tem źle nie jest — dodałam prędko, gdyż słowami temi chciałam położyć tamę dziwnemu rozczuleniu, które mię ogarniało. Łzy drżały mi w oczach, serce biło, jedno jeszcze słowo Izy, a byłabym się rzuciła w jej objęcia i wyplakała łzy lat całych. Lecz Iza nie już nie rzekła, spaściła oczy ku ziemi, a po chwili rzekła podnosząc się z miejsca:

— Śliczny dzień mamy, myślę, że przechadzka pomoże mi na ból głowy, a ty nie pójdiesz, Ado?

— Nie — rzekłam krótko, bo łzy głos mi dławily.

Iza wyszła, została sama.

Ach! czemuż Iza nie powiedziała jednego jeszcze serdecznego słowa! czułam, że od niego byłoby stopniało coś w duszy mojej.

Znów przewrót jakiś w myśli i sercu, które zamknęło się z zaciętością jakąś.

Ojciec żądał abym odpisała natychmiast, zabrałam się do listu, napisałam to, na co zdobyć się mogłam w takiej chwili, a jeżeli list mój nie był serdeczny, nie było w nim nic jednak, coby urazić mogło. W parę dni rzeczywiście otrzymałam list zapowiedziany, był on istotnie długi, bardzo długi, było w nim tyle serdecznych i zacnych chęci do zjednania mego serca, że tylko tak dziwnie usposobiona istota jak ja, mogła pozostać obojętną.

W parę tygodni ojciec przyjechał po mnie, druga matka towarzyszyć mu nie mogła gdyż zwichnęła nogę, lekko wprawdzie, lecz doktor nie pozwolił jej odbywać tak długiej podróży.

Ojciec niemile był zdziwiony, że jechać nie chciałam, ale że przytem byłam wesoła, nie robiłam mu najłżejszej nawet wymówki, a korzyści z lekcji które już brałam przedstawiałam tak świetnie, że mimo, iż nie był zadowolony, musiał jednak zgodzić się na usilne me prośby i pozostał w Paryżu. Nie będę szczegółowo opowiadać wszystkiego, zajęłoby to zbyt wiele czasu, a i tak daleko jeszcze do końca.

Do ukończenia pensyi nie byłam w domu ani razu, wróciłam, mając lat siednaście skończonych.

Jakże mi się tu wszystko inaczej przedstawiało, czułam się obcą, jakby nie w domu.

Pokoje dla siebie zastałam urządzone tak, że mogły zadowolnić najwybredniejszy gust i wymaganie, mnie jednak, smutno w nich było. Matka była dla mnie bardzo dobra, chciała być serdeczną i była nią, ale ja trzymałam się grzecznie, lecz z daleka.

Na małego braciszka ledwie że spojrzeć raczyłam, śliczna, paromiesięczna dziewczynka pociągała mnie więcej trochę, ale, nawet nie wypowiedziałam tego, że ładna, choć wiedziałam, że matka tego słowa oczekuje z ust moich.

Byłam zawsze bardzo poważna, mało mówiąca, do czego powoli zaczęli się wszyscy przyzwyczajać, zostawiając mi zupełną wolną wolę.

Dom był otwarty, a z przybyciem panny dorosłej zaczęły się zabawy, ale te, rzeczywiście, już mię tyle nie zajmowały, ze względu, że chciałam się utrzymać w przybranej, surowej roli.

Matka czyniła wszystko co tylko mogła czynić aby pozyskać me serce, ja zaś, przez jakiś dziwny upór, nie chciałam otworzyć serca uczuciu, które się do niego gwałtem wciskało.

Oceniałam tę przybraną matkę, podziwiałam jej cierpliwość i wyrozumiałość na grymasy, które powoli zaczęły mi przychodzić do głowy, co więcej, zaczynałam ją kochać, choć się do tego przyznać nie chciałam nawet przed sobą i za nic w świecie, nie byłabym okazała co się dzieje w mem sercu.

Aż w drugim roku takiego stosunku, mogącego wyczerpać największe zasoby cierpliwości, przyszedł nareszcie do przekonania, że trzeba zmienić dotychczasowe me postępowanie, że walka z uczuciem, które na dobre rozpoczynało się już w mem sercu, jest walką szalonego uporu i zaciętości, że dość już tego tyranizowania zanej i dobrej kobiety, i jakieś obrazy do nowego szczęścia i pokoju, przesunęły się przed memi oczami.

Lecz widocznie i matka moja uznała, że dość już czyniła dla tak zimnego i obojętnego stworzenia, i postanowiła nie zważać już na mnie z tą serdeczną tkliwością, jak to dotąd czyniła.

(d. c. u.)

HUCUŁY.

Rycina, którą dziś dajemy, przedstawia na tle wdzięcznego krajobrazu górskiego, charakterystyczne postacie huculskich dziewczoi, podążających na uroczystość weselną.

Może wszakże niejednego zdziwi rzadko u nas praktykowany sposób, w jaki ta podróż się odbywa, ale Hucuły to lud mający w sobie dużo cech odrębnych, więc i kobiety ich, dzieląc z nimi na równi wszelkie trudy, są zahartowane i wytrwałe. Hucuły rozsiedli na Karpatach w okolicy Czarnohory i dalej na obszarach Suczany aż ku Rumunom, stanowią odrębny szereg góralski, o którym Wincenty Pol daje wskazówki, jakoby byli odłamem Serbów, którzy po klęsce na Kosowem Polu, częścią do Czarnogórza, częścią na Czarnohorę się schronili. Podobno nawet dotąd dwa te oddzielne ludy, utrzymują stałe między sobą stosunki.

W języku huculskim używanych jest dużo słów rumuńskiej mowy, sama nawet nazwa ich da się wyprowadzić od wyrazu *huc*, co znaczy zbój, opryszek.

Silni i rośli, Hucuły lubią stroje jaskrawe, mianowicie kolor amarantowy z białym, a ze szczególnem zamiłowaniem hodują odrębną, dorodną rasę konie.

Lew świętego Marka

(z ANGIELSKIEGO E. A. Henty)

przekład K. P.

(Ciąg dalszy).

Piccola Chioggia, oddzielona od reszty miasta kanałem św. Katarzyny, została natychmiast zajęta, ale mostu dzielącego od właściwej Chioggi broniły baszty i reduty i tu Pietro Reno z trzema tysiącami ludzi dokazywał cudów waleczności.

Nieprzyjaciel nie tracąc czasu sypał szańce i 12 sierpnia rozpoczęto ogień. Z Wenecyi przysłano posiłki i co chwila przemycaly się szybkie łodzie, niosące do miasta wiadomości o bitwie. Z początku szło wszystko dobrze. Genuęńczycy ponieśli znaczne straty, Wenecyanie zaś niewiele ucierpieli. Całe miasto napelniał niepokój i trwoga. Od utrzymania Chioggii zależało ocalenie Wenecyi, bo ona była kluczem do lagun.

Równocześnie Węgrzy napadli posiadłości weneckie na stałym lądzie, wojska Padwy były w drodze, a z jedynym sprzymierzeńcą Ferrarą komunikacja została przecięta. Jeżeliby Chioggię zdobyto, to wielkie galery popłynęły kanałami

mniejsze posuną się po lagunach, otoczą miasto dokoła i wezmą Wenecyę głodem.

Polani przygotował się do najgorszych wypadków. Część kosztowności ukrył w morze, resztę oddał na okręt, który stał w pogotowiu, aby w razie niebezpieczeństwa naglego wywieść Maryę i Julię. Pewnego dnia udał się sam do Chioggii i wrócił trochę spokojniejszy.

Franciszek spędzał całe dnie w porcie, oglądał statki Polaninie i rozmawiał z marynarzami.

Wszyscy prawie utrzymywali, że flota genueńska nigdy by się nie ośmieliła oblegać Chioggi, gdyby Pisani stał na czele obrony. Giustiniani, powiedział, to dzielny człowiek, ale jakież są jego czyny wobec czynów Pisaniego. Dlaczego składamy nasze losy w ręce niodoświadczonego wodza? Przygotowuje się do obrony, ale jakież to są przygotowania? Ze zatapia statki w kanałach? Na nic się to nie przyda, jeżeli Chioggia się podda. Kanały zamkną, a drobne statki genueńskie przepłyną od wyspy do wyspy i dostaną się do samej Wenecyi.

Franciszek utrzymywał ich w tem mniemaniu; radził nawet, aby się zbierali w gromady i domagali głośno uwolnienia admirała.

XVIII.

Vettore Pisani.

Rano 17-go sierpnia, rodzina Polanich i Franciszek siedzieli przy śniadaniu; nagle Julja zerwała się od stołu.

— Słuchajcie! — zawołała.

Polani i Franciszek spojrzeli zdziwieni, ale nadstawili uszu i po chwili doleciał ich długi, poważny dźwięk.

— To dzwon z Campanili — rzekł kupiec — sygnał, aby się wszyscy obywatele zbroili. Musiało się zdarzyć coś strasznego.

Nałożył spiesznie zbroję, przypasał miecz i wraz z Franciszkiem udał się na plac św. Marka. Mnóstwo obywateli szło w tym samym kierunku, a plac zalegały tłumy tak gęste, że niepodobna się było przecisnąć. Wszystkie oczy zwrócone były na pałac dożów, z kąd oczekiwano wyjaśnienia.

Zaniepokojenie widać było na każdej twarzy; co to za nowina, która skłoniła rząd do zaalarmowania całego miasta? Po chwili doża w towarzystwie radców ukazał się na balkonie. Dzwony przestały bić i cisza zaległa dokoła. Jeden z radnych wystąpił naprzód, gdyż głos doży Contariniego siedmiesięcioletniego starca za słaby był na podobne przemówienia.

— Obywatele rzeczypospolitej! zbierzcie całą moc ducha, aby wysłuchać wiadomości, którą wam przynoszę. Wiadomości są złe, ale nie czas na skargi, nie czas na rozpacz. Jeżeli Wenecya posiada siłę i ufność w tę siłę, to zwalczymy niebezpieczeństwo tak, jakżeśmy je dotychczas zwalczali. Chioggia zdobyta!

Okrzyk smutku i bólu rozległ się w tłumie. Mówca podniósł rękę, na znak, że jeszcze nie skończył.

— Chioggia wzięta, ale z dumą możemy powiedzieć, że wzięto ją nie dla braku odwagi i wytrwałości obrońców. Przez sześć dni Pietro Reno, podesta odpierał wszelkie napady, ale dziś zdarzył się nieszczęśliwy przypadek. Podczas gdy nasi żołnierze bili się dzielnie z Genuęńczykami, statek nieprzyjacielski eksplodował na tyłach wojska. Naszym ludzom zdało się, że to się most pali, Genuęńczycy wołali: Most w ogniu i parli naprzód, szerząc zamieszanie w oddziale weneckim. Reno z czterema towarzyszami bronił wejścia na most, ale uległ przeważającej sile. Nie było czasu zniszczyć go i Genuęńczycy wpadli do miasta siekąc i koląc naszych żołnierzy. I tak zdobyto Chioggię. W bitwie straciliśmy ośmiuset sześćdziesięciu ludzi a reszta czterotysięcznej załogi wzięta do niewoli.

Okrzyk rozpaczliwy wydarł się z piersi słuchaczy. Wielu zobecnych miało krewnych i przyjaciół w załodze Chioggi,

dla wszystkich wzięcie tego miasta było wielką klęską, ciemsem prawie nie do zniesienia. Dostęp do Wenecyi był wolny lada chwila ukaże się nieprzyjaciel na jej kanałach. Radni i niektórzy z możnych usiłowali uspokoić lud, tłumacząc, że posłano do Dorii i do księcia Padwy z propozycją pokoju, a gdyby się to nie udało, Wenecya potrafi się jeszcze obronić do powrotu Zenona, który przeważy szalę zwycięstwa na jej stronę.

Sam doża przyjmował deputacyę obywateli, a jego spokój i pogoda przyczyniły się wielce do rozproszenia trwogi a po kilku godzinach miasto wróciło do normalnego stanu.

Nazajutrz nadeszła odpowiedź od księcia Padwy i Dorii. Książę, który zaczynał wątpić o zwycięstwie Genueńczyków, skłaniał się do pokoju, ale mówił, że sam nie może decydować, lecz musi zwołać radę. Doria zaś sądząc, że Wenecyę trzyma w ręku, odrzucił z pogardą wszelkie układy.

— Na Boga! — zawołał — nie będziecie mieli pokoju ani ze mną, ani z Padwą, aż opanuję Wenecyę i koniom św. Marka założę wędzidła. A co do tych jeńców — dodał ukazując palcem na więźniów genueńskich, których Wenecyanie przywieźli ze sobą, w nadziei, że tem zjedną sobie Dorię — tych możecie zachować; za parę dni uwolnię ich wraz z innymi.

Gdy tylko poselstwo wróciło do Wenecyi, zaczęto bić w dzwony i Pietro Mocenigo na miejsce sędziego doży, po wiedział zgromadzonemu ludowi, że po odpowiedzi Dorii nie mogą liczyć na nikogo, tylko na własną odwagę i wytrwałość.

— Uzbrój się! — wołały tłumy — narządźmy wszystkie galery z arsenału i pójdziemy się bić. Lepiej umrzeć w obronie kraju, niż tutaj ginąć z głodu!

Wszystkich obywateli powołano do broni, ustanowiono nowe podatki, dobrowolne składki i w krótkim czasie zebrano olbrzymią sumę 6,294,040 lirów. Jako dowódca całej siły zbrojnej został mianowany Taddeo Giustiniani.

Natychmiast przystąpiono do sypania wałów między Lido i San Spirito, a dwie drewniane wieże zamykały przesmyk San Nicolo. Rozkazy następowały bez ustanku jeden po drugim. W trzydzieści sześć godzin po zdobyciu Chioggii postanowiono plan obrony. Lud bez szemrania spełnił wszystko, co od niego wymagano, zaciągał się do szeregów, należał do składek, pracował przy robotach ziemnych, ale od chwili, gdy dowództwo oddano Tadeuszowi Giustiniani zaczął szemrać. Nie zarzucali nic nowemu wodzowi, który był jednym z najpospolitszych ludzi w mieście, ale każdy czuł, że w chwili tak tragicznej, u steru władzy powinien być stać kto inny.

Rybacy w porcie pierwsi podnieśli okrzyk, na cześć Wiktora Pisaniego, inni przyłączyli się do nich i niebawem wielki tłum zaległ plac i grożąc domagał się, aby Pisaniego wypuszczono z więzienia. Radcy zebrali się pospiesznie. Jeszcze się wielu wahało, gdyż Pisani, ulubieniec ludu, którego powszechnie nazywano ojcem miasta, mógł stać się niebezpieczny, mógł wzmocnić nowem zwycięstwem popularność i zagarnąć rządy.

Zaledwie po długich i burzliwych naradach późnym wieczorem, kilku senatorów, przeprowadzanych przez lud

uradowany, udało się do więzienia, aby oznajmić admiralowi że jest wolny, i że go doża i senat oczekuje.

Pisani wysłuchał ich spokojnie i odrzekł, że woli tę noc jeszcze spędzić na rozmyślaniu, a do Signorii uda się nazajutrz rano. O wschodzie słońca, dziewiętnastego sierpnia wysłańcy senatu, poszli znów do więzienia. Otwarto bramę i Pisani wyszedł ze zwykłą wesołością na twarzy; marynarz porwali go matychmiast na ramiona i obnieśli po całym placu, wpośród okrzyków zebranego ludu. Na schodach wiodących do pałacu Signorii spotkał go doża i powitał serdecznie. Udan się natychmiast do kościoła, gdzie Pisani wysłuchał na klęczkach mszy św. a stamtąd do sali radnej, aby się rozpatrzeć w położeniu.

Tłum zebrany na placu nie przestawał krzyzczeć i gdy Pisani znów się ukazał, porwano go na barki i odniesiono w tryumfie do domu. Kiedy przechodzili obok Campanil św. Marka, spotkali starego marynarza Marino Carbara który długie lata służył pod Pisanim, i szczerze nienawidził rządu, utorował sobie drogę przez ciżbę, i zawołał na cały głos:

— Admirale, teraz czas zemścić się za wszystkie krzywdy. Ogłoś się dyktatorem, a my wszyscy ilu nas tu jest staniemy po twojej stronie. Jeżeli chcesz, to cię ogłosim księciem.

Uczciwość Pisaniego, tak się oburzyła na tę propozycyę że z całej siły uderzył go pięścią w głowę, a potem rzekł głośno, aby go stojący dokoła słyszeli:

— Kto mi dobrze życzy nie zawoła: „Viva Pisani”! ale „Viva San Marco”!

A tłum powtarzał za nim, Viva San Marco! i nasojejcie Pisani!

Zaledwie Pisani wszedł do swego pałacu, rozeszła się wieść, że admirała uczyniono tylko gubernatorem Lida a przy Giustinianim pozostawała komenda floty. Lud nie posiadając się z oburzenia i deputacya złożona z 600 obywateli miasta przysłała powiedziec Pisaniemu:

— Jesteśmy twoi, rozporządzaj.

Pisani odrzekł, że jedna tylko Signoria ma prawo wymagać od nich posłuszeństwa. Deputacya wtedy ruszyła do doży i zapowiedziała w imieniu pięćdziesięciu tysięcy Wenecyan, że ani jeden człowiek w mieście nie przywdzieje zbroi ani jeden nie wejdzie na galeryę, póki nie naznaczą Pisaniego generalnym dowódcą sił na lądzie i na morzu. Rada widząc że niepodobna oprzeć się żądaniom ludu, zgodziła się wkońcu

Szczęściem dla Rzeczypospolitej, przez te cztery dni, które upłynęły między wzięciem Chioggii a oddaniem do wództwa Pisaniemu, nieprzyjaciel był beczynny. Carrara i Doria zwykle niezgodni i teraz różnili się, książę Padwy chciał korzystając ze zwycięstwa, natychmiast zdobywać Wenecyę, Doria zaś uważał, że lepiej miasto wziąć głodem.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Na wakacje dla panienek. — Józef Sikorski p. Zosi Urbanowską. — Życie w oceanie przez Dr. M. Stefanowską (z drzew.) — Nieznajoma z poddasza, powieść przez Bronisławę Porawską. — Nowy gmach biblioteki uniwersyteckiej (drzeworyt). — Ilucy (z drzew.) — Lew świętego Marka (przekład K. P. z angielskiego G. A. Henty). — Dodatek: Dzieci na wsi (z drzew.) — Pierwsze buty wiersz p. E. L. — Najmilszy datek p. H. G. — Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich, przełożyła M. B. — Łamigłówni rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Orla skała, powieść miss K. Yonge przekład T. O.

WIECZORY RODZINNE



DZIECI NA WSI.

(Dokończenie).

— A teraz spać — zdecydowała ciocia — bo jutro punkt siódma wyruszamy, biada temu, kto zaśpi!

Ale nie było mowy o zaspaniu, Różia nawet zdobyła się na odwagę wyskoczenia natychmiast z łóżeczka, to też gdy wóz drabiniasty, wysłany słońną zajechał, nie brakowało nikogo.

Wyniesiono najpierw kosze z jedzeniem, następnie derki do pokrycia słomy, wreszcie poczęto wsiadać, a raczej gramolić się na wysoki wóz. Dwaj najstarsi chłopcy usadowili się tuż przy powożącym Marcinie, w środku zajęli miejsca rodzice i wujostwo, reszta zaś osób umieściła się jak mogła. Na dany znak Marcin uroczyście palnął z bata, konie ruszyły i tuman kurzu wzniósł się za jadącym wozem.

Wesoło i szybko przeszła droga; dzieci cieszyły się widokiem pól, pokrytych f. lującym zbożem, wśród którego widniały ogniste maki i błękitne bławatki, a przeróżne motyle, unoszące się w powietrzu, wzbudzały zachwyt Janka, wielkiego ich miłośnika. Dotarli wreszcie do lasu; cienie drzew ogarnęły wóz i konie, cicho toczyły się koła po mchu zielonym, szumiały tylko olbrzymie drzewa a ptaszęta leśne im wtórowały. Ucichła rozbawiona dzia-
twa, wsłuchując się w te szmery i w milczeniu już zaje-
chała przed chatę leśnika, bielejącą wśród zieleni.

To był cel ich wycieczki, wysiedli też wszyscy i po małej przekąsce udali się na poszukiwanie poziomek.

Mnóstwo ich było w tym lesie, a przytem tyle innych ślicznych rzeczy! Tu paproć wybujała, tam kwiatki

niebieskie, żółte i fioletowe, mchy delikatne, a tu widłaki i bluszcz leśny, tworzące takie przepyszne wieńce.

Okazało się, że najwięcej jagód nabierali starsi, za to dzieci miały pęki kwiatów i paproci; nabiegały się przytem co niemiara.

Zmęczone też usiadły do stołu, zastawionego przez leśnika i jego żonę i po spożyciu zapasów przywiezionych, obejrzeniu domku, miejscowości i gospodarstwa, nie miały już ochoty do biegania, więc też usiadły wśród polanki i odpoczywały.

Mania i Jadzia opiekowały się Rózią i Waciem, Janek uciął gałąź wierzby i usiłował wykręcić z niej fu-jarkę, reszta dziatwy zajęta była układaniem kwiatów i opowiadaniem swych wrażeń. A było ich dużo, tak dużo, że ze zdziwieniem i żalem przerwano im rozmowę rozkazem powrotu do domu.

— Jakto, już? tak prędko!

— A tak moje dzieci, wszystko co przyjemne, szybko przechodzi, lecz wybierzemy się jeszcze na taką wy-cieczkę, naturalnie, jeżeli na to zasłużycie.

Lecz o to nie było obawy; jeżeli wujostwo kochali tak swych siostrzeńców, to dla tego, że były to dzieci grzeczne i dobre. Słuszną więc było rzeczą, by po całorocznej usilnej ich pracy uprzyjemniać im chwile odpoczynku.

K. Śiósarska.

PIERWSZE BUTY.

— Patrzcie-no ja mam buty! więc mi każdy przyzna, że przestałem być dzieckiem już od tego czasu; Precz odemnie wy malcy! wszak jestem mężczyzna, Wolno robić mi w domu najwięcej hałasu!

Tak dowodził raz Józio w młodszych braci kole, I nasz mężczyzna w butach, napuszony srodze, Rozparł się niby basza na łokciach przy stole,

A potem z wielkim stukiem biegał po podłodze. Wtem matka usłyszawszy hałas Józia taki,

Uciszyła go zaraz przez dowód niesprzecny, Że tylko ktoś niemądry, jak zwykle dzieciaki, Mógł być chyba tak hardy, a razem niegrzeczny.

— Zuchwalstwo— rzekła—w parze z mężkością nie chodzi, Bo to byłby wręcz w świecie przeciwny porządek, Jak również dojrzałości pycha nie dowodzi, Ale skromność, łagodność, rozum i rozsądek.

E. L.

NAJMILSZY DATEK.

— Dlaczego tatko podziękował subjektowi za paczkę; przecież mu się zapłaciło, i jego obowiązkiem było zwinąć kupione przedmioty? — mówił do ojca mały Kazio, wychodząc ze sklepu. — Zawsze chciałem o to spytać — ciągnął dalej — dla czego tatko taki grzeczny dla pro-

stych ludzi. Oni nie nie umieją, a tatuś jest doktorem skończył uniwersytet, drukuje swoje prace...

Ojciec Kazia uśmiechnął się i po chwili rzekł:

— Jak przyjdziemy do domu, coś ci opowiem; przez całą drogę był potem bardzo zamyślony i, jak się zdawało Kaziowi, smutny.

Gdy powrócili, zawołał synka do swego gabinetu i rzekł mu:

— W jednej księgarni był ubogi chłopiec, używany do posyłek. Często, gdy odniósł komu paczkę, dostawał kilka groszy, które składał, aby zebrać pieniądze na ładny wieńec na grób rodziców. Raz wszedł do sklepu siwy staruszek i kupił kilka książek; posłano z nim chłopca, aby je zaniósł. Staruszek nic mu nie dał, ale podziękował za przysługę, czego nikt jeszcze dotąd nie uczynił. I wiesz, mój Kaziu, że to podziękowanie było chłopcu sto-kroć miłsze, niż największy datek, czy wiesz, że nikomu potem nie usługiwał on tak chętnie i grzecznie, jak temu staruszkowi. Staruszek ten ujęty bezinteresowną grzecznością chłopca, dowiedziawszy się, że jest ubogim, zao-piekował się nim, posyłał go do szkół, a że się uczył dobrze, wy kierował go na porządnego człowieka.

Doktor przerwał opowiadanie, a Kazio siedział czas jakiś zamyślony, aż po długiej chwili podniósł na ojca swe wielkie oczki i zapytał:

— Czy to nie tatuś był tym chłopcem?

— Zkądże to wnosisz? — zapytał ojciec.

— Bo często chodzimy na grób pewnego staruszka, o którym mówiłeś, że mu zawdzięczasz swój los, a gdym się pytał, czemu pomiędzy ładnymi wieńcami leży na grobie dziadków stary zardzewiały wianuszek, odpowiedziałeś, że ten jest najpiękniejszy i najcenniejszy, boś całe miesiące zbierał nań miedziaki.

— Masz słusność, mój Kaziu. temu staruszkowi zawdzięczam moją wiedzę i stanowisko, on to pierwszy podziękował dziesięcioletniemu chłopczyńce, za małą przysługę nie rozważając, czy to było jego obowiązkiem, czy grzecznością. Tak, Kaziu, należy być zawsze grzecznym, nawet dla ludzi najprostszych, bo między nimi są poczciwi i szlachetni. Żaden człowiek rozsądny i zacy ny nie będzie pogardzał niższymi i biedniejszymi od siebie... I pomyśl tylko, jaką możesz sprawić przyjemność człowiekowi nieukształconemu, prostemu, gdy mu pokażesz, że go szanujesz, że go uważasz za równego, bliźniego, brata.

Kazio słuchał uważnie i, nie wiem czemu, lzy zakręciły mu się w oczach. Może przypomniał sobie, że nie zawsze postępował tak, jak radził ojciec.

Ale gdy wieczorem służąca zapaliła w dziecinym pokoju lampę, Kazio po raz pierwszy szepnął cicho, nieśmiało:

— Dziękuję ci, Marysiu!

H. G—t.

Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich.

przełożyła M. B.

(Dalszy ciąg).

— Ani żadnych papierów — dodała złośliwa pastuszka z dwuznacznym uśmiechem. — Nie pierwszy raz puszczają się na kradzież, niech łaskawy pan ich wybada!

Widać było, że żal i przestrasz siostry i brata sprawiają jej wielką przyjemność.

— Zkąd idziecie? — zapytał wachmistrz.

— Z bardzo daleka z Ploumanach.

— Jak się nazywają wasi rodzice?

— Derrien.

— Dlaczegoście ich opuścili?

— Umarli oboje.

— Czy tylko prawdą jest co mówisz?

— Niestety panie, gdyby żyli, nie puściliby nas samych w nieznane strony...

— Jakim sposobem wybraliście się w drogę sami, bez pieniędzy i papierów? Pokażcie no kieszenie.

Melcia bez wahania wyciągnęła obydwie, Iwonek z przerażeniem pomyślał o swoim żółtym pieniążku, nuż go znajdą pomyślał zaraz, że ukradziony, nie ruszał się więc z miejsca, a widząc, że na niego nie patrzą, bo stał poza plecami siostry, wyjął go z kieszeni i schował na piersiach.

— No mały, pokaż i ty swoje kieszenie, to mówiąc żandarm włożył rękę do jednej i drugiej, nic w nich nie było.

— Czy możemy już odejść? — zapytała Melcia.

— Nie, bo nie macie papierów, a włóczęgostwo surowo jest zakazane... Chodźcie za mną, noc dzisiejszą musicie spędzić w kozie.

— W kozie! — zawołała Melcia.

— W kozie! — powtórzył Iwonek chwytając się za głowę.

I upadł na ziemię nie mogąc się już utrzymać na nogach.

— On może umrzeć... Iwonku, mój najdroższy!

I Melcia upadła przy nim na kolana, podnosząc mu głowę.

Przez ten czas wachmistrz wyciągnął wielką kraciatką chustkę i obcierał nią oczy, a chcąc ukryć swe wzruszenie zaczął nos głośno wycierać. Iwonek drgnął przestraszony tym odgłosem i kryjąc głowę na ramieniu siostry, zaczął wołać:

— Zabijają nas Melciu, strzelają do nas.

Żandarmi pomimo wzruszenia wybuchnęli śmiechem na myśl, że nos wachmistrza był wzięty za strzelbę.

— Ten malec nie jest w stanie dojść do miasteczka, dobrą milę mamy jeszcze przed sobą — rzekł żandarm — możebyśmy mogli złożyć dwa pałasze, usiądźcie na nich i poniesiemy go pomiędzy sobą, będzie się nas trzymał za rękę...

— Sprobujmy, jeżeli się nie utrzyma to go wezmę na rękę... mam w domu takich samych malców, dzieci mnie znają.

Złożywszy dwa pałasze i trzymając je za końce schylili się, by Iwonek mógł łatwiej usiąść na tym zaimprovizowanym krześle, a on myśląc, że chcą go niemi przebić, rozkrzyczał się jeszcze gorzej.

— Zwaryowałeś — rzekła Melcia — nikt ci nie zrobi nic złego, i chcąc mu pokazać, że nawet przyjemność można w tem znaleźć, usiadła sama na jego miejscu. Ruszyli naprzód.

— Czekajcie na mnie, usiądę obok Melci — wołał Iwonek, biegnąc za siostrą...

— Siadaj, obojgu damy radę.

Dzieci zaczęły się śmiać, znajdując bardzo zabawnym podobny sposób podróżywania... Nawet żandarmi spoglądali z rozculeniem na te biedactwa, które blizkie rozpaczy przed chwilą, teraz swawoliły wesoło. Dzięki długim nogom niosących, wkrótce znaleźli się wszyscy u bram miasteczka.

— Teraz moje dzieci musicie zejść na ziemię, bo przez miasto nie możemy was nieść w ten sposób... idźcie pomiędzy nami...

— Oh! panie wachmistrzu, w ten sposób prowadzą zawsze złodziei, każdy kto nas zobaczy pomyśli, że popełniłszy coś złego... Pamiętam jak u nas prowadzili tak kiedyś jakiegoś mężczyznę i kobietę, wszyscy pokazywali ich sobie palcami, a byli i tacy którzy mówili im różne przykre i brzydkie rzeczy... Błagam pana, niech pan pozwoli iść nam za sobą, przysięgam, że pójdziemy tuż za panem.

— Zapewne macie zamiar ucieczki!

— Już nóg nie czuję — rzekł Iwonek — i jeżeli nie dostanę kawałka chleba, nie pójdę kroku dalej.

I zaczął znów płakać.

— Dosyć beków, trzeba iść do mera, a później pomyślemy o jedzeniu.

— Weź mnie pod rękę mój maleńki — rzekła Melcia — będziesz się na mnie opierał.

Szli za żandarmami, a ci umyślnie zwalniali kroku, by im mali więźniowie nadążyć byli wstanie. Wprost udali się do mera, znaleźli go w kancelaryi oczekującego na młodą parę, która u niego akt ślubny podpisać miała.

— A co mi tam przyprowadzacie? — zapytał niezadowolony, widząc wchodzących żandarmów.

— Tych oto dwoje dzieci, panie merze, które zatrzymaliśmy na drodze.

— Cóż oni przewinili?

— Chłopiec... głodny i spragniony pił mleko od cudzej kozy, w chwili, gdyśmy tamtędy przechodzili.

— Czy do tutejszej gminy należą?

— Nie, papierów żadnych przy sobie nie mają.

— Włóczęgi... w takim razie trzeba ich zamknąć na strychu dawnego probostwa.

— Dach tam dziurawy i mnóstwo... szcurów — nieśmiało zaprotestował wachmistrz.

— Szczury!... oh! dobry panie ulituj się i każ nas zamknąć gdzieindziej, ja się tak boję szcurów — rzekła Melcia zwracając się do mera.

— Widzisz ją, jaka śmiała! Może chcesz bym ustąpił mego pokoju?

Melcia wzrok błagający rzuciła na poczciwego wachmistrza, który też odezwał się raz jeszcze.

— Kapitan zwiedzając nasze mieszkania, kazał sobie pokazać strych starego probostwa, gdzie pomieszczamy czasami aresztantów i rzekł: „Trzeba koniecznie ten dach naprawić, bo nie mamy prawa zamykać tu ludzi, psa zaś by było trzymać w tej dziurze”.

W tej chwili weszli państwo młodzi... Ona ładna bardzo i młoda, on syn jednego z najbogatszych gospodarzy w okolicy; mer z uśmiechem wybiegł na ich spotkanie...

Widząc go tak zajęтым, wachmistrz skorzystał z chwili i zbliżył się do niego:

— Panie merze, gdzie mam umieścić tych małych włóczęgów?

— Choć u diabła, byleś mi niemi głowy nie zaprzętał.

(d. c. n.)

S Z A R A D A.

Pierwsze jest wielką rzeką co we Włoszech płynie,
Drugie, to każdy przedmiot jaki się nawinie.
Trzecie, znana spółgłoska w naszym alfabecie.
Wszystko znany nam owoc, jeden z pierwszych w lecie.

KWADRAT MAGICZNY

ulożyła Salamandra.

a a a e	Rzeka w Rosyi.
e e i i	Tytuł muzynański.
k k w w	Zwierzę drapieżne.
l n r r	Najdawniejszy statek.

ZADANIE KONIKOWE.

w	net	mu	gość	człek	rzył	u	dzi	cza
w	tem	wo	i	nas	wcho	by	sze	no
ry	miej	kie	ni	o	a	sem	ot	
led	ki	a	w nich	Wiel	my	lud	roz	
see	się	gra	do	ca	ka	i	wie	
wel	no	cia	ca	za	rzył	się	nie	
nie	gdzieś	tak	dom	stro	ro	cił	do	
trud	nie	świe	się	nie	męł	choć	dzi	

ROZWIĄZANIA DO N-ru 23-go :

Szarady: Mar — ty — ni — ka.

Łamigłównki kropkowanej:

Książek masz dużo, aleś nie uczony
Bo wszędzie widnieją nierozcięte strony.

Łamigłównki sylabowej:

- 1) Sokół. 2) Tyrol. 3) Afryka. 4) Niedźwiedź. 5) Iris
- 6) Srebro. 7) Łomnica. 8) Antyoch. 9) Węgry. 10) Jordan.
- 11) Ameryka. 12) Cecylia. 13) Holandia. 14) Ogar. 15) Wisła.
- 16) Indyje. 17) Cyna. 18) Zajęc.

Stanisław Jachowicz.

Skrzynka do listów.

P. Adam..... Krakowie. Dziękujemy serdecznie za słowa życzliwej pamięci tem cenniejszej, że świadczy wymownie, iż gorliwa praca około kształcenia młolodocianych serc i umysłów, zwykła pożądana wydawać owoce.

Red. Siej. zbiera już widocznie plon z posianego przez starszych ziarna; w dalszej pracy życzymy powodzenia. Za datkę rs. 2 na kolonie letnie, dziękujemy.

Żądany dodatek przez *Gabryelkę K.* wysłamy najchętniej.

Miły nam jest dowód życzliwej pamięci *Srebrnej Gwiazdki*, która z postępem czasu wyszedłszy z grona naszych czytelników, wspomina o nas zawsze i odzywa się tak serdecznie. Pragniemy, iżby nadal wspomnienie korzyści odniesionej z czytania *Wieczorów*, było silnem ogniwem łączącym dawną prenumeratorkę z przychylną jej Redakcją.

Dobre rozwiązania lamigłówek nadesłali: *Krasula, Terkotka, Wesola Figlarka, Czarny Łabędź, Wacjo Z. i Rymka S.*

Długiej Strzelbie radzimy obranie mniej dziwnego pseudonymu, oraz więcej starania w piśmie i uwagi w układaniu lamigłówek, drukujemy bowiem tylko takie które zrozumieć możemy.

List twój z 5-go z. m. *wesola Figlarko*, błędnie przesłany do nas po świecie i doszedł mnie wraz z następną odezwą twoją, odpowiedź przesłałam. Dziękuję ci za pamięć o twojej małej skrzydlatej przyjaciółce i gotowość dzielenia z nią przyjemności spacerów wózkiem i własnym konikiem jakie zamysłasz odbywać.

Nie obawiaj się *srebrna Gwiazdko*, nie zapominam tak łatwo życzliwych mi korespondentek. Choćby nas dzieliły morza i lądy, nie będziemy sobie obce, bo nas będzie zawsze łączyła jedność myśli, stanowiąca najściślejszą spójnię między istotami dobrej woli na ziemi.

Żaluję, że nie przedziłaś mnie *Lewkonio różowa* o twoim pobycie w Warszawie. Byłabym się starała fruwać w pobliżu towarzyszyć ci niepostrzeżenie w wycieczkach twoich i chełby skrzydłem wskazywać to, co tu jest ciekawszego do widzenia i w ten sposób dowieść o niezmiennej życzliwości waszej:

Juskółki.

Przy kończącym się półroczu przypominamy odnowienie prenumeraty na

„WIECZORY RODZINNE.”

które wychodzić będą pod tymi samymi co dotąd warunkami i w tymże samym kierunku:

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2, kwartalnie rs. 1. — Na prowincyi rocznie rs. 5, półrocznie rs. 2 kop. 50, kwartalnie rs. 1 kop. 25. — We Lwowie i Krakowie kwartalnie zlr. 2. — W Poznaniu kwartalnie m. 3.